ŚWIATŁO

Pismo z obrazkami dla katolickich rodzin polskich.

Rok XI. Bytom G.-Ś., 7-go Października 1897. Nr. 40.

„ŚWIATŁO“ wychodzi dwa razy na miesiąc w Czwartek. — Przedpłata kwartalna wynosi z przesyłką pocztową 85 cent. — Pojedyńczy zeszyt kosztuje 15 centów. — Główny skład na Galicyą i Bukowinę znajduje się w księgarni pp. Kubaczki i Langa w Białej (Galicya.)

WALERYA.

OPOWIADANIE HISTORYCZNE

przez

ks. Antoniego de Waala.

(Ciąg dalszy.)

Kandydus pożegnał się, gdyż pora była spóźniona a miał jeszcze przed sobą inną drogę. Przy pożegnaniu umówiono się, o której porze następnego dnia spotkają się w pałacu. Następnie Kandydus puścił się w drogę zwracając się w stronę cesarskich stajen, leżących na południe od Palatynu. Ponieważ młodocianego trybuna wszędzie znano, więc odrazu przedstawiono mu dzielnego wierzchowca. W ulicach po części jeszcze oświetlonych panował jeszcze ruch i wesołość wśród ludu. Dopiero gdy Kandydus wydostał się z sieci ulic i zaułków a wyjechał na zaciszniejsze pole Marsowe i w aleje drzew prowadzące do bramy flaminijskiej, mógł koniowi popuścić cugli i ruszyć kłusem.

Lecz podczas gdy ciało biegło lekkim pędem nocą przez zaciszne i opuszczone ulice, to przed oczyma ducha przedstawiały mu się urocze obrazy. Wyprawa wojenna zakończyła się świetnem zwycięztwem; cieszył się znowu posiadaniem najdroższej matki, którą prawie z rąk śmierci mu przypadło wydostać; on sam posunął się aż do stopnia trybuna wojennego; nawrócenie się Konstantyna zaś ziściło jego najświętsze i najgorętsze pragnienia. Czyż nie spełniły się przez to wszystkie nadzieje jego, nakształt rozkwitłych pączków?

Czyż to wszystkie nadzieje? Podczas gdy jedne pączki rozwijają się w kwiat, inne znów dopiero przychodzą do życia.

Nagle uwaga jego zwróciła się w inną stronę.

Zdaleka dolatywał uszu jego wśród ciszy nocnej jakiś śpiew, który go dziwnie wzruszył. Czyż to nie były znajome jakieś melodye psalmów i hymnów kościelnych?

Wkrótce miał się o tem upewnić.

Ze wzgórza, na którem znajduje się wchód do cmentarza św. Walentego zstępowała jakaś jaśniejąca procesya. Wszyscy jej uczestnicy, dzieci i dorośli, mężczyzni i kobiety trzymali w ręku płonące pochodnie. Na czele pochodu niesiono wielki napis Chrystusa utworzony sztucznie z świeczek — a błogosławione imię Chrystusa jaśniało wspaniale w tej uroczystej nocy.

Na ten widok ogarnęło Kandyda głębokie wzruszenie; łzy rzewnej pobożności spływały po licach zahartowanego wojownika-młodzieńca.

Nie podlegało żadnej wątpliwości. Kościół święty pod kierownictwem Chrystusa Pana a z papieżem na czele opuszcza procesyonalnie katakomby, aby

wśród radosnych a uroczystych śpiewów odbyć wspaniały wjazd do stolicy świata.

Kandydus zsiadł z konia i oczekiwał na przejście uroczystej procesyi. Niebawem dolatywały go już wyraźne słowa pieśni. Był to psalm 113-ty In exitu Israel de Aegypto, Przy wyjściu Izraela z Egiptu, ów psalm wspaniały, który opiewa wyjście ludu wybranego z niewoli i jego oswobodzenie z pod jarzma Faraonowego. Jakże cudownie stósowały się słowa świętego psalmisty do obecnego położenia:

Nie nam, Panie, nie nam, ale Imieniowi Twemu daj chwałę;
Dla Twej wierności, że nie będą mogli rzeknąć poganie: Gdzież jest Bóg ich?
Nasz Bóg — On w Niebie tronuje, a wszystko co zamyśla, wykonuje.
A Bożyszcza ich są złoto i srebro, dzieło rąk ludzkich.
Niech się stanie jak chce ten, co je sprawił i wszyscy pokładający w nich nadzieję;
Lecz Izrael zaufał Panu, On jest jego Obrońcą i Zbawcą.
A Pan wspomniał na nas i pobłogosławił Izraelowi.
Jesteście błogosławieni od Pana, od Niego, który stworzył Niebo i ziemię;
A my żyjący chwalimy Jego teraz i po wszystkie wieki.

Kandydus nucił z cicha pienia za innymi, a gdy procesya zbliżyła się ku niemu, dał znak, aby się zatrzymano, przystąpił potem do biskupa a wręczając mu pismo władcy, zwiastował wszystkim donośnym głosem poselstwo cesarskie.

Któż opisze radość i uniesienie chrześcian? Modlitwy dziękczynne, które zanosili do nieba z podniesionemi rękami, mięszały się z błogosławieństwy i życzeniami dla cesarza.

Gdy świątobliwy starzec wyraził zamiar, że chciałby zaraz następnego poranku złożyć władcy osobiście swoje i Kościoła podziękowanie, Kandydus oświadczył mu się z gotowością wprowadzenia go do cesarza. Następnie znowu dosiadł konia i popędził ku miastu, odwracając raz po raz oczy ku jaśniejącemu imieniu Chrystusa na czele postępującej za nim zwolna procesyi.

Na polu Marsowem napotkał Kandydus jakiś orszak pogrzebowy. Na czele postępowały dwie osoby z pochodniami, za niemi dwaj mężczyźni nieśli zwłoki zmarłego. Za trumną szły wolnym i smutnym krokiem dwie tylko niewiasty.

Właśnie złożyli strudzeni tragarze mary na ziemi, aby odetchnąć na chwilę.

Na widok tak prostego i skromnego orszaku sądził Kandydus, że to pewnie jakąś biedną osobę z ludu niosą na miejsce wiecznego spoczynku; lecz tem większe było jego zdumienie, gdy spostrzegł po nad zwłokami okrycie z kosztownej purpury z szeroką złocistą obwódką.

— Kogóż to grzebiecie? — zapytał ciekawie, wstrzymując konia.

Wtedy jeden z mężczyzn uchylił zasłonę a w blasku pochodni widać było strasznie zmienioną twarz niewieścią.

Kandydus mimowoli zadrżał na całem ciele.

— To jest żona Maksencyusza — rzekł grabarz z lodowatą obojętnością, aż dreszcz przejął wszystkich, — ona się dobrowolnie otruła. Niewolnice jej chcą ją pogrzebać w jej posiadłości wiejskiej obok grobu syna.

Tragarze podjęli nosze na ramiona i tak szybko ruszyli dalej, że dwie niewiasty zaledwie mogły zdążyć za nimi.

— To obraz pogaństwa! — rzekł Kandydus przejęty głębokiem wzruszeniem i w zamyśleniu jechał dalej w kierunku Palatynu, gdzie jeneralny sztab cesarza Konstantyna otrzymał wyznaczone leże.

Droga, którą jechał, wiodła obok panteonu, czyli świątyni wszystkich bogów. Gmach ten wystawiony za czasów Augusta przez Agrypę, uważany był wraz z swą olbrzymią kopułą już za czasów pogańskich za najwspanialsze dzieło budownictwa; nazywano go też dla wykończonej harmonii wszystkich części »utworem boskim.« Żadna z świątyń w całym Rzymie nie mogła się poszczycić tak przepyszną wspaniałością wnętrza zdobnego w różnobarwny marmur, złoto i inne drogie kruszce w najbo-

gatszych rysunkach. W siedmiu wielkich framugach, niby kaplicach wspartych na wspaniałych filarach, stały wielkie posągi bogów: naprzeciw bramy stał posąg Jowisza, obok zaś po obu stronach stały posągi Junony, Minerwy, Marsa, Wenery i innych.

Na gzymsach wybuchały jeszcze ostatnimi płomieniami niektóre z tysiącznych lamp glinianych, ustawionych tamże dla iluminacyi z okazyi wjazdu Zwycięzcy do Rzymu.

Gdy Kandydus przejeżdżał obok panteonu, wstrzymał mimowoli rumaka na kilka chwil, aby przypatrzeć się z podziwem wspaniałej budowie sterczącej w majestatycznej wielkości ku niebu przysłoniętemu gwiaździstym płaszczem nocy.

— Kiedyż — zapytał sam siebie — cześć bogów zamieszkujących tu niby na swoim Olimpie, zaniknie tak, jako te lampy tu gasną jedna po drugiej? A wtedy cóż się stanie z tą wspaniałą budową?

Ach, gdybyż on był mógł przewidzieć, że to szczytne dzieło starożytnego budownictwa zachowa się po dziś dzień w ten sposób, że po oczyszczeniu go z posągów niedorzecznych bogów poświęcony zostanie Królowej Nieba i z świątyni bogów stanie się kościołem na pamiątkę wszystkich męczenników! W roku bowiem 609 papież Bonifacy IV otworzył po wiekowem zamknięciu panteon, przeistoczył go na kościół chrześciański, dając mu nazwę: Sancta Maria ad Martyres. Od tego czasu poczęła się także uroczystość Wszystkich Świętych, w przeciwieństwie do panteonu czyli przybytku wszystkich bogów.

Już oddawna cały Rzym po utrudzających wzruszeniach upłynionego dnia pogrążony był w śnie głębokim, tylko w pałacu lateraneńskim dwoje okien było jeszcze oświetlonych. Jakże Irena mogłaby zasnąć? Jej całe życie tak pełne doświadczeń, walk i ofiar przemykało się przed jej duszą niby chmurny ponury dzień, który atoli wieczorem dziwnie wspaniale się wypogodził. Pełna błogiego szczęścia dziękowała niebu za przebyte cierpienia i za radość, jaką jej w dniu tym zgotowało; ale do podziękowania załączyła jeszcze jednę prośbę do tronu boskiego, prośbę, której wysłuchanie miało uzupełnić jej szczęście.

Ale i Walerya nie mogła zasnąć. Wśród natłoku szybko po sobie następujących zdarzeń nie znalazła ona dotychczas odpowiedniej chwili, w której mogłaby Kandydowi wręczyć złotą puszkę (bulla) albo też zwrócić ją Irenie. Teraz owa puszka leżała przed nią, gdyż w pobożnej ciekawości otworzyła ją. W puszce znajdowała się gąbka nasiąknięta i zabarwiona krwią Kastula; Walerya pomyślała o relikwii swej własnej matki, której się już spodziewać nie śmiała; jakżeby się czuła szczęśliwą, gdyby w zamian za to mogła zatrzymać sobie tę puszkę! Gdyby przynajmniej mogła się podzielić tą zakrwawioną gąbką; bezwątpienia Kandydus nie odmówi jej tej przyjemności, jeśli go jutro oto poprosi. Lecz dziewica uczuła rumieniąc się, że nie wiedzieć dla czego, nie miałaby odwagi wyrazić mu swej prośby.

XVI.
Zapłata.

Rzeka Tybr wyrzuciła w nocy na brzeg wielką ilość trupów tych wojowników, którzy zginęli w jej nurtach; między innymi znajdował się także trup Maksencyusza. Niektórzy żołnierze z obozu Konstantyna znaleźli go rankiem u brzegu i wydobyli na ląd.

Jeszcze był okryty cesarskim płaszczem, lecz tenże był zgoła błotem zmazany. Twarz była wykrzywiona w najokropniejszy sposób; w dzikich jej rysach odbijała się wściekłość, rozpacz i ostatnie wysiłki walki śmiertelnej — w włosach i brodzie pełno kału — zaiste straszny i wstrętny widok. Żołnierze zaraz zabrali się do obdarcia trupa z złota i kosztowności, któremi się podzielili. Następnie ucięli mu głowę, natknęli ją na dzidę i nieśli z tryumfem do obozu; chociaż nie udało się im żywcem schwycić tyrana, przynaj-

mniej głowa jego miała zdobić ich pochód tryumfalny. Opodal od obozu na jednem z wzgórz zatknęli oszczep z głową na wierzchołku, jako okropny znak zwycięztwa.

jakiegoś młodego mężczyzny, leżący na płytkiem miejscu wśród sitowia. Przy zwłokach albowiem znajdowała się jakaś kobieta, która z furyą czarownicy odegnała rabusiów od trupa a sama usiadła



Mikołaj Kopernik, najsławniejszy astronom świata, chluba narodu polskiego.
(Podług obrazu Jana Matejki.)

Do tej grabieży popełnianej na trupach wyrzuconych lub wydobytych na brzeg, przyłączył się także motłoch rzymski. Rozpoczął się zatem rabunek na wielką skalę. Tylko u jednego trupa grabież się nie udała; a był to trup

w pobliżu na straży. Gdy zaś jacyś ludzie zbliżyli się do miejsca, zrywała się natychmiast, wrzeszcząc:

— Cicho, cicho, gdyż tam oto śpi cesarz! Czyż nie wiecie, że mój syn pobił Konstantyna w pojedynku? W po-

łudnie cesarz Sabinus odbędzie uroczysty wjazd do Rzymu.

Podczas gdy Sabina, która widocznie dostała pomięszania zmysłów, z rozpuszczonemi włosami i dzikiem spojrzeniem, z suknią powalaną mułem rzecznym, stała na straży przy trupie syna, Herakliusz oczekiwał w przedpokoju cesarskim chwili, w której Konstantyn zawezwie go wraz z innymi do siebie.

Herakliusz przebył od wczoraj południa chwile najokropniejszego niepokoju. Cały rój szpiegów i siepaczy, którym się przedtem zwykle posługiwał, wypowiedział mu służbę i posłuszeństwo, skoro tylko rozeszła się wieść o śmierci Maksencyusza; z jakąż goryczą spostrzegł on teraz, że wszyscy czemprędzej uciekli z tonącego okrętu jego szczęścia! Niepewność co do losów Sabina, z rozpaczą granicząca obawa jego żony o syna, niepokój i bojaźń o swoję własną przyszłość, zwłaszcza gdy pomyślał o swej przeszłości napełniały godziny wyczekiwania wielką męczarnią. Za nadejściem nocy już postanowił potajemnie uciec z miasta, ale żona odgadła jego zamiary i gwałtem go od tego powstrzymała. Rankiem następnego dnia przyniósł jeden z niewolników wiadomość, że syn ich leży utopiony u brzegu Tybru. Na tę wiadomość Sabina dostała z boleści i wzruszenia pomięszania zmysłów, a na domiar nieszczęścia udało się jej niepostrzeżenie wymknąć się z domu. Herakliusz był zbyt zakłopotany, aby mu przyszło na myśl wysłać za nią ludzi w pogoń, teraz własne już tylko ocalenie zaprzątało myśl jego. Cóż zresztą pozostawało mu do wyboru, jak tylko, albo sobie odebrać życie, albo też przeprowadzić plan pozyskania sobie łaski Konstantyna? Lecz on nie chciał umierać; ze zgrozą myślał on o sądzie i po nim następującej wieczności, w którą teraz wierzył, gdyż wierzyć musiał, mimo swojej woli; tak więc zerwał się do działania i poszedł do cesarza.

Przedewszystkiem chodziło mu o to, aby wkraść się do łaski Konstantyna, zanim tenże dowie się o nim czegoś niepochlebnego, dla tego też on pierwszy znalazł się w przedpokoju cesarskim dla złożenia mu pozdrowienia porannego. W czasie, gdy musiał czekać, zdołał trochę zebrać swoje myśli, a gdy wreszcie przyszła nań kolej do stawienia się przed cesarzem, wtedy ważność tej stanowczej chwili wróciła mu zupełną rozwagę i przytomność umysłu.

Padłszy przed cesarzem na kolana ucałował jego rękę i zaczął tak:

— Urząd, który piastowałem za twego poprzednika samozwańca, mógłby w oczach twej boskości przemawiać na moję niekorzyść, gdybym nie był w stanie przedłożyć ci najwyraźniejszych dowodów, jako w czasie, gdy służyć musiałem tyranowi, byłem sercem i duszą oddanym twej boskiej osobie. Spodziewam się, że dobroć i łaskawość twoja nie policzy mi tego, że musiałem nieraz wykonywać rozkazy, które w sumieniu potępiałem. Zdala od bezeczności, która udaje wierność a spiskuje z nieprzyjacioły twymi, starałem się owszem uniemożliwić zdradę przez to, że tych oto listów nie dopuściłem do tyrana.

To mówiąc, przedłożył Herakliusz cesarzowi listy arcykapłana Gordyana do Rufusa. (Ciąg dalszy nastąpi.)

PRZYGODY ZE LWAMI.

Dla podróżnego w Afryce, lew jest niebezpieczny nietylko w nocy; leży on na zwykłym swym tropie i z trudnością daje się spłoszyć, jeśli podróżnemu tamtędy wypada droga i potrzebuje miejsca dla swego wozu i zaprzęgu, chociażby słońce żarem zionęło z nieba; czasem też wypłoszą go z krzaków niezmordowane psy, towarzyszące zawsze karawanom. Burchell, pilny spostrzegacz, żywo

opisuje podobne spotkanie. »Dzień był niezwykle przyjemny, a na niebie nie było ani jednej chmurki. Blisko godzinę jechaliśmy po nad rzeką, której brzegi były porosłe gęstem sitowiem. Psy z wyraźnem zadowoleniem przeszukiwały okoliczne krzaki, gdy nagle w gęstem sitowiu ujrzały jakiś przedmiot i zajadle zaczęły go oszczekiwać. Zaczęliśmy ostrożnie badać to miejsce, ponieważ właściwy ton ujadania psów wskazywał, że tam mógł lew się znajdować, co się też rzeczywiście sprawdziło.

Zachęcaliśmy psy do wyruszenia zwierza z legowiska, co też one chętnie spełniły i ujrzeliśmy ogromnego czarnogrzywego lwa z lwicą. Ta ostatnia ukazała się tylko na chwilę, gdyż natychmiast rzuciła się w górę rzeki i ukryła się w sitowiu; lew zaś powoli wystąpił naprzód i zatrzymawszy się, zaczął się nam przypatrywać. W tejże chwili spostrzegliśmy, że nasze położenie było bardzo niebezpieczne, ponieważ lew widocznie zabierał się do skoku. Staliśmy nad brzegiem rzeki, o kilka zaledwie kroków od zwierza, prawie bez broni i po większej części pieszo; ani myśleć można było o ucieczce. Wszelkie usiłowania uniknienia lwa byłyby zupełnie bezowocne. W tej chwili psy rzuciły się pomiędzy nas i zwierza, otoczyły go i zawziętem szczekaniem powstrzymywały go na wodzy. Odwaga wiernych tych zwierząt była prawdziwie zadziwiająca. Śmiało rzucały się na potężnego zwierza, szczekając zawzięcie przed samym jego pyskiem. Lew, w poczuciu swej siły stał nieruchomie, z oczami w nas wlepionemi. Psy śledząc kierunek jego wzroku dopadły prawie do łap jego, jakby się go chwycić chciały, lecz drogo opłaciły swoje zuchwalstwo, lew bowiem, nie zmieniając majestatycznej swej postawy, zrobił jeden tylko ruch łapą i w okamgnieniu dwa psy padły bez życia. Ruch ten jego był pozornie tak mały, tak bez żadnego wysiłku, że trudno było odgadnąć, co tę natychmiastową śmierć obu psów spowodowało.

Nie straciliśmy ani chwili zyskanej przez tę zwłokę, spowodowaną przez dzielne psy nasze. Daliśmy ognia. Jedna kula trafiła lwa w bok pod żebra; krew się polała, ale lew nie zmienił postawy. Byliśmy pewni, że teraz rzuci się na nas i co prędzej nabiliśmy strzelby; na szczęście byliśmy w błędzie i z przyjemnością ujrzeliśmy, jak się spokojnie oddalał. Nasi ludzie uznali, że lew był bardzo wielki; mnie przynajmniej wydał się tak wielki jak wół, chociaż nie tak gruby, lecz długość jego ciała z pewnością była taka sama, bogata zaś jego grzywa nadawała mu straszliwy wygląd. Należał on do gatunku nazywanego przez Hottentotów i osadników w południowej Afryce »czarnym« z powodu ciemnej jego barwy i uważano go za niebezpieczniejszego od zwykłego lwa.«

W roku 1705 Sterreberg Kupt odbywał podróż po koloniach w celu zakupu wołów dla holenderskich osad w Indyach Wschodnich, a wypadek ze lwem jaki spotkał całe jego towarzystwo, zasługuje na powtórzenie na tem miejscu.

»Nasze wozy, zmuszone nadłożyć znaczny kawał drogi, przybyły na ostatku; rozbiliśmy nasz namiot na odległość karabinowego strzału od wioski Hottentotów. Urządziwszy obóz, udaliśmy się na spoczynek, który jednak wkrótce został przerwany. O północy, woły i konie leżące pomiędzy wozami zaczęły się niepokoić i zrywać, biegając w koło z objawami największego przestrachu. Jeden z poganiaczy dał sygnał na trwogę, a na ten głos każdy pochwycił za strzelbę i niezwłocznie wyskoczył z namiotu. W odległości zaledwie trzydziestu kroków stał lew, który ujrzawszy nas, przeszedł jeszcze ze trzydzieści kroków, dźwigając jakiś ciężar, niby młodego wołu, jak mi się wydawało: po chwili zniknął nam z oczu w krzakach; daliśmy ognia, ale żaden ruch nie zdradzał jego obecności. Wiatr południowo-zachodni dął silnie, niebo było bez chmur, księżyc świecił jasno, tak żeśmy mogli wszystko dokładnie widzieć na znaczną odległość. Skoro się nasze bydlęta po-

ciągowe uspokoiły, wziąłem się do odbycia przeglądu, lecz nie znalazłem szyldwacha przed namiotem, Jana Smifa z Antwerpii. Wołaliśmy jak można najgłośniej, długo i na wszystkie strony, ale napróżno: odpowiedzi nie było. Wtedy zrodziło się w nas straszliwe przypuszczenie, że biedny człowiek został przez lwa porwany i że jego to potwór dźwigał w paszczy. Czterech ludzi z największą ostrożnością wśliznęło się w krzaki leżące naprzeciw namiotu, dla przekonania się o rzeczywistości tego smutnego zdarzenia. Lecz prędzej jeszcze nim się tam dostali, przybiegli z powrotem, ponieważ lew, który się wcale nie oddalał, lecz legł w krzaku, powstał i zaczął straszliwie ryczeć. Przypuszczenie nasze, niestety, sprawdziło się w zupełności, gdyż ludzie ci, pomimo krótkiej chwili w krzakach spędzonej, znaleźli strzelbę z odwiedzionym kurkiem, czapkę i pończochy nieszczęsnego swego towarzysza. Strzelaliśmy ponownie do krzaku, który przy jasnym blasku księżyca, widniał tak wyraźnie, że mogliśmy do niego mierzyć jak do tarczy. Lwa wcaleśmy nie widzieli, ztąd wznieśliśmy, że albośmy go ubili, albo że się cichaczem dalej gdzieś wyniósł. To skłoniło strzelca, Jana Stamanssa do przedsięwzięcia powtórnej próby. Wziął on z sobą zapaloną pochodnię, lecz zaledwie zbliżył się do krzaku, gdy lew straszliwie ryknął i jednym,. krótkim skokiem rzucił się na strzelca. Stamanss cisnął swoją pochodnię na lwa, inni dali ze strzelb ognia i znowu zwierz zniknął w krzaku.

Krzak ten zapalił się od pochodni, pod wpływem zaś gwałtownego wiatru płomień wybuchnął tak jasno i wysoko, żeśmy mogli najwyraźniej widzieć co się wewnątrz krzaka działo. Lecz dopiero o świcie ujrzeliśmy lwa wstępującego powoli na pagórek z trupem naszego towarzysza w paszczy. Huknęło za nim ze czterdzieści strzałów, lecz zapewne przy słabem świetle brzasku, żaden z nich nie był trafny, gdyż lew niewątpliwie rzuciłby się na ludzi i na namiot, gdyby był raniony. Poprzestał zatem za każdą salwą, na zwracaniu się ku nam i na ryczeniu, rzucając trupa swej ofiary na ziemię. Skoro się zupełnie rozwidniło i lew zniknął, łatwo znaleźliśmy za krzakiem miejsce, na którem zwierz leżał i trzymał pod sobą człowieka. Nie można było przypuszczać aby potwór był daleko; ludzie zatem prosili mię o pozwolenie odszukania zwłok nieszczęsnego naszego towarzysza, aby je przyzwoicie pogrzebać, w razie jeśli nie zostały przez lwa pożarte i uda się je odnaleść. Zgodziłem się na to pod warunkiem, że przybiorą sobie do pomocy kilku Hottentotów i zachowają największą ostrożność, gdyż w obec tak zawziętego wroga, żaden środek ostrożności nie był zbyteczny. Siedmiu zatem naszych ludzi w towarzystwie czterdziestu uzbrojonych Hottentotów udało się tropem lwa i znalazło go w odległości jednej mili angielskiej leżącego w krzaku. Przy ostrzegającym krzyku Hottentotów, lew wyskoczył z rykiem, lecz nie rzucił się na ludzi, ale zaczął uciekać. Ścigano go z wielkim krzykiem, w końcu jednak lew się nagle zwrócił i z rykiem rzucił się na ścigających. Ludzie zmęczeni i zdyszani szybkim biegiem, dali ognia, ale tak byli zmieszani tym niespodzianym napadem, iż żadna kula go nie trafiła i już lew był bliskim porwania dwóch obok siebie znajdujących się i zupełnie nieprzytomnych ludzi, gdy ich wódz skoczył im na ratunek. Lew zatopił pazury w jego opończę ze skór zwierzęcych, ale śmiały i zręczny wódz opuścił opończę i przebił zwierza oszczepem. Wtedy pospieszyli inni Hottentoci i każdy z nich przeszył swym oszczepem ciało miotającego się w dzikich podskokach zwierzęcia, tak że lew wyglądał jak kolczaty jeżozwierz. Pomimo to nie przestawał ryczeć i wspinać się na łapy; odgryzł nawet kilka oszczepów tuż przy broczącej krwią skórze, aż w końcu Jan Stamanss wypalił lwu w same oko, tak że ten, śmiertelnie raniony, upadł na ziemię i w kilka chwil życie zakończył. Było to zwierzę niesłychanej wielkości, przez wszystkich

poczytywane za toż samo, które przed niedawnym czasem porwało jednego Hottentota z pośrodka wioski i ze szczętem go pożarło. Z nieszczęśliwego szyldwacha nie pozostało innego śladu prócz kawałka skrwawionej odzieży.«

REBEKA.

Ogłuszał wieczór ciszą nakryty,
Mury Nachoru bielały,
Zachodnie góry na sine szczyty
Słońce z błękitu ściągały.

A przed Nachorem na staj nie wiele
Cysternę palmy obsiadły,
A pod palmami skubając ziele
Wielbłądy w rząd się pokładły.

Wracała z pastwisk gromada owiec,
Strzepując rosy na łące,
Stał przy cysternie jakiś wędrowiec
I wieszał oczy na słońce.

A jego słudzy od karawany
Gwarzyli wsparci na siodłach,
On tylko jeden stał zadumany
I tak rozmyślał w swych modłach:

»Obce tu niebo — obca tu rzesza,
Jakoś markotno i nudno,
I z powitaniem nikt nie pośpiesza,
Choć niby ludno — odludno.

Jam mu położył rękę pod biodro,
Przysiągłem przywieść synowę.
Lecz nie poradzę — gdy łaską szczodrą
Bóg nie uświęci mą głowę.

Jemu ta sprawa niech będzie dana,
Niech jego w niej będą rządy,
Oto ta wejdzie w dom mego pana,
Co me napoi wielbłądy«.

I ledwie takie słowa wypowie,
To mrokiem od strony miasta
W bieluchnej szacie, z dzbankiem na głowie,
Szła zwolna jakaś niewiasta.

I szła powiewna jak gałąź wina,
Jak mgły nad łąką, co wiszą,
Nie tak się palma zgrabnie przegina,
Kiedy ją wiatry kołyszą.

A tak srebrzała na tle murawy,
Jak biała lilija w dolinie,
A taką lekkość miała z postawy,
Że się zdawało — że płynie.

Czarne jej włosy rozwiane iściem
Spadały na białe lica,
A tak pod ciemnym cyprysu liściem
Ogneżdża się gołębica.

A kiedy dzbanek i twarz w rumieńcu
Ku modrej wodzie schyliła,
To na dnie studni w wodnym ziół wieńcu
Para się gwiazdek odbiła.

A gdy podniosła się z koneweczką,
Podróżny, co stał przy zdroju,
Rzekł jej łagodnie: »Piękna dzieweczko,
Udziel mi trochę napoju«.

I wnet z ramienia naczynie zdjęła,
Na miękkiej złożyła dłoni,
I na paluszkach drobnych się wspięła,
I dzban ku niemu nakłoni.

Podróżny niby zanurzył głowę,
Leniwo pociągał wodę,
Pił przez połowę, a przez połowę
Poglądał na jej urodę.

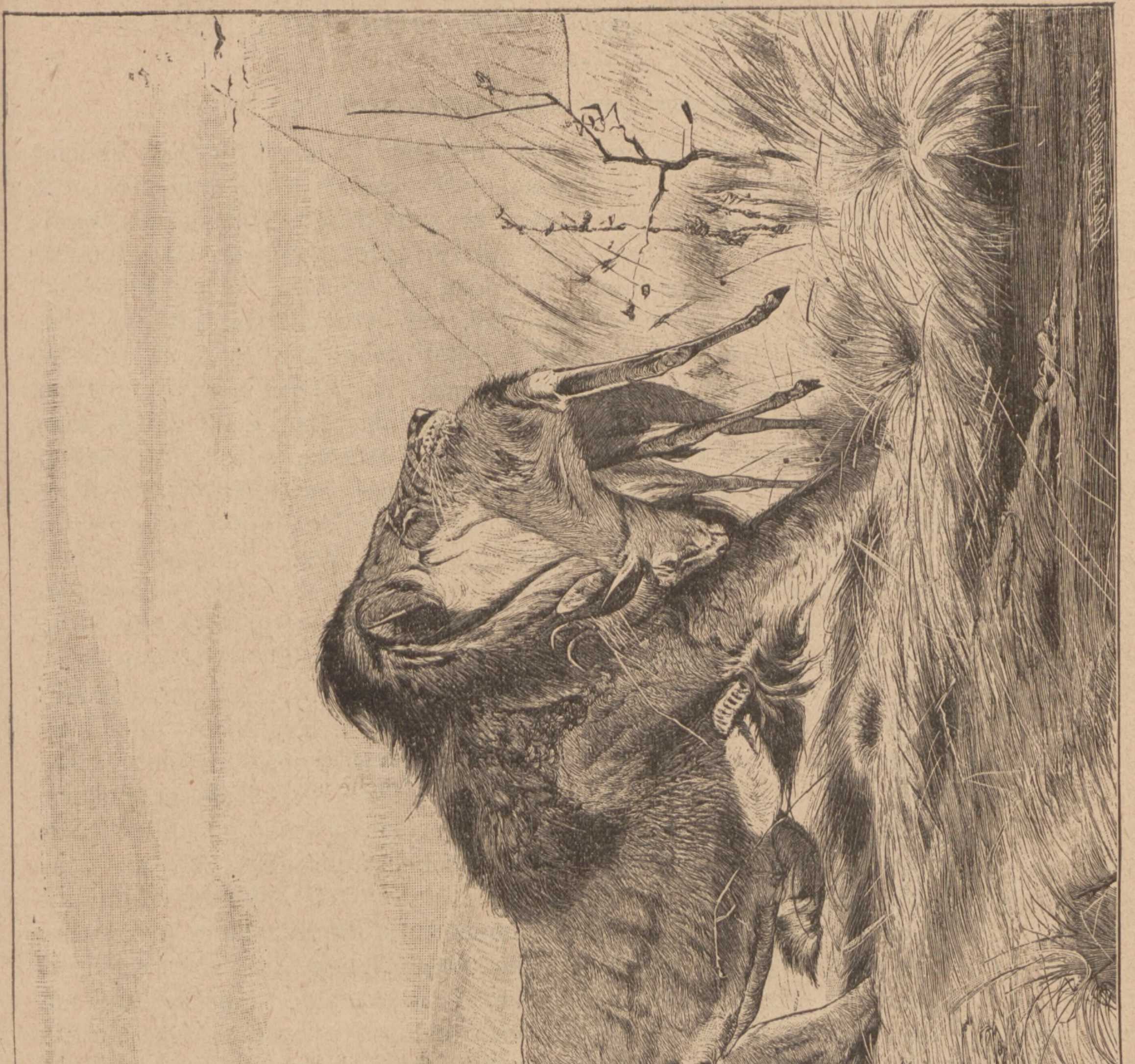
A ona rzekła: »Wyście z daleka,
Wam kurzem szata okryta,
I wielbłąd smutny na wodę czeka,
Patrzając w próżne koryta.

»A słudzy cisną głowy w zawoje
Znużeni męką podróżną,
To ja wielbłądy wasze napoję;
Pozwólcie być wam usłużną«.

I poszła wodę czerpać dla stada,
A obcy człowiek na boku
Pokornie ręce na piersi składa,
Z wilgotną modlitwą w oku.

I patrzał w niebo długo i długo,
I wyrzekł słowy cichemi;
»Wielki Bóg litość miał z swoim sługą«
I skłonił czoło ku ziemi.

Kornel Ujejski.



KRÓL ZWIERZĄT. (Obacz artykuł: »Przygody ze lwami.«)

Z pism św. Jana Złotoustego.

Przeciw tym, którzy przed skończonem nabożeństwem wychodzą z kościoła.

Pomiędzy wielu wadami chrześcijan za czasów św. Jana, i za naszych czasów, była i ta, że jak najspieszniej wychodzą z kościoła. Mianowicie dzieje się to po wielkich miastach, gdzie nie panują stare, dawne zwyczaje kierujące ludźmi. Ludzie wychodząc przed skończonem nabożeństwem, przeszkadzają innym. Św. Jan wymownemi słowy powstaje przeciw temu w jednem kazaniu: Czy mam powiedzieć wam, zkąd pochodzi ten niepokój i hałas? Oto z tego, że nie zamykamy drzwi kościelnych, póki się nabożeństwo całkiem nie skończy, i że możecie wyjść, nim kapłan ukończy wszystkie modlitwy. Że wychodzicie wcześniej, to jest znakiem, że nie szanujecie nabożeństwa. Co czynisz człowiecze? Kiedy Pan Jezus jest obecny i aniołowie, kiedy widzisz przed sobą ołtarz; kiedy bliźni twoi uczestniczą w świętych tajemnicach, opuszczasz wszystko i wychodzisz. Lecz kiedy jesteś zaproszony na ucztę, nie odchodzisz pierwej, nim nie powstaną inni goście zaproszeni, chociaż już przedtem jesteś nasycony. Tylko z kościoła uciekasz, kiedy się odprawia duchowa uczta, kiedy bliźni twoi takowej jeszcze używają.

Z kościoła wychodzisz? Czy to jest do przebaczenia? Czem można usprawiedliwić takie postępowanie? Czy chcecie wiedzieć, kogo naśladują ci, którzy przed końcem całego nabożeństwa, przed ostatniemi modlitwami wychodzą z kościoła, którzy po wieczerzy Pańskiej powtórzonej z całą gminą nie zanoszą pieśni dziękczynnych Bogu? Może wam to się będzie wydawało gorzkiem, kiedy to powiem, lecz ponieważ wielu w tej sprawie jest nader obojętnych, muszę powiedzieć.

Kiedy Judasz ostatniej nocy z innymi uczniami był przy stole z Panem Jezusem, odszedł sobie, chociaż wszyscy jeszcze siedzieli przy stole. A więc za przykładem Judasza postępują ci, którzy przed końcem nabożeństwa wychodzą ze świątyni. Gdyby nie był wyszedł, nie byłby się stał zdrajcą; gdyby nie był wyszedł z owczarni, wilk nie byłby mógł go poźreć; gdyby nie był się dobrowolnie odłączył od swego pana, od swego pasterza, nie byłby się stał łupem dzikiego zwierza. Wyszedł jednak do żydów, lecz inni uczniowie prędzej nie poszli, póki Pan nie uczynił dzięków po wieczerzy. Czy nie widzisz, że ostatnie modlitwy po komunii św. są podobne do dzięków, jakie Pan Jezus złożył po wieczerzy. O tem pamiętajmy tedy, najmilsi, abyśmy uszli kary, która jest naznaczona za ten grzech. Pan Jezus daje ci swe Ciało na pokarm, a ty nawet słowy nie dziękujesz za to niewysławione dobrodziejstwo, nie dziękujesz mu za to, że od niego otrzymujesz pokarm duchowy, który przewyższa doskonałością wszelkie stworzenie widzialne i niewidzialne, chociaż jesteś niedobrym człowiekiem i prochem, nie czekasz tak długo, ażbyś podziękował słowami i czynem? Czyż to co innego, jak umyślnie ściągać na siebie zasłużoną karę? To mówię, abyście nie robili hałasu, lecz pomnąc swego czasu na upomnienia moje, zachowali się przyzwoicie, jako prawdziwym chrześcijanom przystoi. To co się dzieje w kościele, nazywa się tajemnicą, i to też są tajemnice. Gdzie się zaś odbywają jakie tajemnice, tam trzeba zachować spokój. Dla tego zbliżajmy się do tych tajemnic w milczeniu, obyczajnie i z uszanowaniem, abyśmy otrzymali więcej łaski boskiej, abyśmy się z grzechów oczyścili i stali się godnymi szczęścia niebieskiego!

Ze świata legend i baśni.

(Ciąg dalszy.)

W opowiedzianej krakowskiej opowieści o słońcu widzieliśmy słońcu przyznane świętości znamiona. Jakoż było ono świętem od najdawniejszych czasów, cała Słowiańszczyzna i w ogóle ludy aryjskie w pierwotnych czasach swojego pogaństwa oddawały cześć słońcu i księżycowi, mianując je rozmaitemi nazwami, stósownie do miejscowych pojęć. Zacząwszy więc od prastarych ksiąg Wedy i nauki Zoroastra, od podań skandynawskich, germańskich Nibelungów aż do nielicznych pieśni i podań słowiańszczyzny przedchrześciańskiej, ludowej — wszędzie słońce i księżyc występują jako dobroczynni bogowie ludzkości. Nie mówiąc o ich czci u starożytnych Greków i Rzymian, o ich nazwach rozmaitych, powiemy tylko, że znane bóstwa pogańskie, jak Światowid, Prowe, Jarowit, Kolada, Perun itd. nie były niczem innem jak tylko uosobieniem słońca lub księżyca boskich przymiotów.

Jestto bardzo naturalną rzeczą, że słońce cześć boską odbierało od ludu w najdawniejszych czasach. Słońce tak dawniej jak i dzisiaj, dobroczynnie oddziaływało na ziemię i człowieka, tak samo dawniej jak i obecnie, obdarzając żyjące istoty światłem, pomagało roślinom do bujniejszego wzrostu i wydania pożywnych dla człowieka owoców; było więc dobrem, opiekuńczem, życzliwem i przyjacielskiem, tem samem przeto zniewalało moralnie mieszkańca ziemi do oddawania mu boskiej czci. To też roiły się ludem wzgórza i gaje w czasie dni rozmaitych, poświęconych odwiecznemu bóstwu, płonęły ognie na cześć jego a rodzinne pieśni rozlewały się potokiem po niwach słowiańskich.

Miesiąc, przecież to nieodstępny towarzysz boga-słońca, opiekuna nocnego wypoczynku człowieka po całodziennej pracy, zastępca słońca, kiedy ono po dziennym trudzie otuliwszy się w rumiane obłoki — hen, daleko za górami, za lasami i za siedmiu rzekami — ukołysało się do snu głębokiego, jakżeż więc nie czcić boskiego dobroczyńcy? Przecież i on kocha człowieka i sprzyja jego pracy uczciwej, ba nawet całą noc poświęca czuwaniu nad jego dobrem i bezpieczeństwem. A tysiące gwiazd jasnych, toż i one świecą i uprzyjemniają życie ziemi matce, więc słońce, księżyc i gwiazdy w wyobrażeniach ludu przedstawiły się jako jedna rodzina święta, jako bóstwa niebieskie spokrewnione ze sobą związkami powinowactwa.

Występuje przeto w podaniu i pieśni ludowej słońce jako małżonek miesiąca i odwrotnie, a gwiazdy i rumiana zorza dzieci boże przedstawiają. Powiada więc pieśń małoruska ludowa, że:

Jasne słońce — to gospodyni,
Jasny księżyc — to gospodarz,
Jasne gwiazdki — to ich dziatki...

To samo pojęcie dochowało się po dziś dzień w następującej pieśni, przerobionej tylko nieco pod wpływem chrześciaństwa:

Stał raz kościół nowy, nie gotowy,
A w tym kościele trzy okieneczka,
W szerokiem okienku jasne słoneczko,
W drugiem okienku był jasny księżyc,
A w trzeciem drżały jasne gwiazdeczki,
Nie jest to tylko jasne słońce,
Ale jest to sam wielki Pan Bóg,
Nie jest to tylko srebrzysty księżyc,
Ale jest to syn Boży...

Słońce z księżycem żyją z sobą w zgodzie i miłości wzajemnej, a nierzadko bywają wesołego usposobienia, lubią pogawędzić wzajemnie, o czem pieśń ukraińska tak się odzywa:

Oj tam za lasem za borem,
Hen, za sinem jeziorem,
Tam słoneczko igrało,
Z miesiącem rozmawiało...

Wskażemy teraz w ogólnych zarysach, jak lud przedstawił zwycięztwo dnia nad nocą, pokonanie blasku księżyca przez potężne światło słoneczne.

Trojan, król Serbów, nie znosił promieni słońca, nie znał światła, ani dnia nigdy nie widział białego. Nie może

on go widzieć, albowiem gdyby choć jeden promień zaświecił nad głową jego, rozpłynął by się jak chmura deszczu, a ze zwłok jeno by rosa srebrna została. Trojan jedzie raźno z wiernym sługą do swej lubej krasawicy, lecz zesłabłszy długą drogą, postanowił chwilę spocząć, zanim uda się do lubej. Na dziedzińcu więc zamkowym zsiadłszy z konia sam się kładzie na spoczynek, a wiernemu swemu słudze każe czuwać. Giermek czuwa — wtem niedługo widzi, że już dnieje, więc budzi raźno Trojana, lecz ten rzecze:

— Snu mi sługo nie przerywaj, wiem ja lepiej kiedy świta, kiedy hasło śmierci mojej.

I usypia znowu Trojan, sługa czuwa i niedługo znowu zawoła:

— Zbudź się o panie! widziałem zorzy świtanie. Jeźli na chwilę zostaniem jeszcze, promień cię słońca zaskoczy.

— Poczekaj chwilę — odeprze Trojan — zaraz pobiegnę. Byle na koń dość czasu! Nim po zorzy błyśnie słońce, będę w murach swego zamku.

Wreszcie Trojan dosiadł konia i pobieży lotem strzały, w tem za chwilę giermek woła:

— Patrzaj panie, słońce świta!

— Więc chwila śmierci już bliska! — zawoła Trojan z goryczą — zsiądź z rumaka na chłodną ziemię, przycisnę do niej ciało nieszczęsne.

— Okryj mię płaszczem, sam uchodź, a o zachodzie przybywaj po mnie z biegunem.

Sługa spełniwszy polecenie, ujechał. Trojan leży sam w polu, przycisnąwszy się do ziemi, płaszcz przed słońcem go ukrywa. Lecz pasterze przybieżeli zrzucili płaszcz z Trojana, więc on krzyczy i zaklina:

— Zakryj płaszczem mnie człowiecze, nie dopuszczaj ognia słońca!

Próżno błaga i zaklina. Słońce świeci, a promienie prosto w twarz Trojana padają. W tem Trojan zamilkł, oczy jego w dwie krople się rozpłynęły, taje głowa, szyja, piersi, a wkrótce całe ciało, jakby w łzy się zamieniło...

Nie podobna stworzyć poetyczniejszego obrazu tej walki, jaką ostatki nocy staczają z budzącem się słońcem. Lud to widocznie odczuł całą piersią, nadał całemu zjawisku kształty plastyczne i piękne.

Wiemy już, że słońce odbierało cześć świętą w słowiańskiej mitologii, więc nie można mu było najmniejszej obrazy wyrządzić, bo zaraz najwyższy bóg nieba karał za to ciężko grzesznika. Wiele takich wydarzeń przekazały nam pieśni i podania ludowe, a zawsze wyszły one na złe człowiekowi, o czem niech zaświadczy łaskawemu czytelnikowi przykład następującej osnowy, pochodzący z poezyi ruskiego ludu.

»Było to bardzo dawno« mówi podanie »kiedy jeszcze nie było słońca na ziemi a ludzie żyli w ciemności. Bóg nieba wypuścił z zanadrza słońce. Zaczęli więc wszyscy ludzie dziwić się wielkiem dziwem, i od rozumu prawie odchodzili z podziwienia. Baby we wsi kiedy to zobaczyły, dalejże w rzeszota nabierać światła i nosić do izby aby ją rozjaśnić, a chaty były wtedy bez okien. Co podejmą rzeszoto, pełno w niém światła, aż się brzegami rozlewa... wejdą do chaty, a tu światła nic już nie ma w rzeszocie. A boże słońce coraz to wyżej i wyżej się wzbija, już i przypiekać zaczęło. Baby pogłupiały, napracowały się co niemiara, a światła ani trochę nie zaniosły do chaty, choć słonko wciąż piecze a piecze. Z gniewu więc zaczęły urągać słońcu, za co Pan Bóg się srodze rozgniewał i bluźniercy skamienieli na rozkaz jego.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

ŻEGLUGA NA BRYLE LODU.

Było to na początku Stycznia. Zegar ścienny wybił drugą godzinę po południu, a już noc zapadła ciemna. Skallagrin, proboszcz parafii Grunana w Islandyi pracował usilnie przy kowadle, waląc młotem w rozpalone żelazo. Trzeba bowiem wiedzieć, że szczupłe dochody parafialne nie wystarczały mu na utrzymanie i w wolnych chwilach od zatrudnień duchownych, zajmował się kowalstwem, w którem wielkiej nabył zręczności.

Przykry to klimat, w którym już o godzinie drugiej po południu noc zapada. Izbę przyległą kuźni oświecały trzy proste lampy, zupełnie podobne do górniczych kaganków, bez szkieł i ozdób; tran wielorybi, napełniający je, bardzo niemiłą woń rozszerzał. W dużym piecu palił się ogień torfowy, napełniając mieszkanie przyjemnem ciepłem.

Proboszcz ukończył obstalunek, zagasił ogień na kuźni i wszedł do izby, w której za chwilę miało się zgromadzić kilkunastu obojej płci parafian. Zwykle w długich wieczorach zimowych przychodzili oni z dziatkami na probostwo, aby posłuchać czytania bądźto ciekawych, bądź nauczających i pożytecznych książek.

Przytem kobiety szyły lub przędły, mężczyzni zaś naprawiali siecie, albo wycinali z rogu i kości rozmaite przedmioty. Proboszcz zasiadał zwykle po prawej stronie komina, a przy nim na małym stołeczku jego siostrzenica Regnilda, młoda, miła i rozsądna dzieweczka.

Pomiędzy zwykłymi gośćmi proboszcza znajdował się rybak Steno, młody jeszcze, bo zaledwie dwadzieścia pięć lat mający, lecz nietylko zręczny łowca, ale zarazem śmiały marynarz. Odbył on już kilka podróży, to do Szpicbergu, to do Grenlandyi, a nawet do Archipelagu Faröer na morzu Północnem, w towarzystwie swego ojca, Grundebranda. Obok tego, posiadał wielkie zdolności snycerskie i jedynie nożem, bez pomocy wszelkich innych narzędzi, wyrzynał prześliczne figurki szachowe, a sprzedając corocznie kupcom przybywającym z Danii kilka garniturów, dobre brał za nie pieniądze.

Niekiedy proboszcz czytywał zgromadzonym stare Islandskie kroniki, na pargaminie spisane, których mu pożyczał biskup z Kalholt. Czasami znów śpiewano starożytne pieśni bardów skandynawskich; dzikie i smętne tony melodyi odwiecznych szczególniejszą tęsknotą napełniały serca słuchaczy i śpiewających, zdawało się im, że jakaś moc czarodziejska przenosi ich w te czasy, gdzie na ukochanej wyspie, ludniejszej i cieplejszej przed wieki potężne bohatery stąpały.

Właśnie smętna pieśń rozlegała się po izbie, gdy drzwi się otworzyły i wszedł wysoki jak na Islandczyka starzec, pozdrawiając proboszcza serdecznie, a zgromadzonych witając skinieniem głowy.

Pieśń zamilkła.

Skallagrin, ujrzawszy wchodzącego rybaka, odwrócił wzrok od rozłożonej na kolanach księgi, a wlepiwszy oczy w przybyłego, zapytał:

— I cóż Horso, czy niema żadnej wiadomości o biednych naszych braciach z Grenlandyi.

Słysząc to Steno, zwrócił także wzrok na przybyłego starca.

— W zimie trudno, żeby się czegoś dowiedzieć można — odrzekł Horso, — czekajmy wiosny.

Wszyscy zwiesili smutno głowy.

Trzeba bowiem wiedzieć, że przed półtora rokiem w lecie, stary Grundebrand z swym synem Stenem, popłynęli do Frederikshaw, lichego miasteczka w Grenlandyi, a przecież będącego stolicą posiadłości duńskich w tej lodowatej pustyni. Interesa handlowe wymagały dłuższego pobytu w Grenlandyi, stary więc, korzystając z odpłynięcia statku angielskiego, wyprawił do domu

syna, a sam obiecał uroczyście powrócić na wesele Stena z Regnildą.

Lecz upłynęła zima, przeszło lato i po drugi raz już mróz porwał morze w swoje lodowate uściski, a o Grundebrancie słychać nie było. — Zeszłego lata spodziewano się niezawodnego powrotu rybaka na okręcie duńskim, dowożącym corocznie żywność grenlandzkim osadnikom, ale właśnie lato było tak burzliwe i zimne, że statek z powodu nagromadzonych lodów i niezmiernej mgły musiał się zwrócić ku brzegom Islandyi, gdzie kapitan zostawił zapasy, polecając miejscowemu zarządowi, ażeby za pierwszym roztopem na przyszłą wiosnę, przesłał żywność Grenlandczykom cierpiącym wielki niedostatek.

Steno, Horso i kilku najdzielniejszych marynarzy islandskich ofiarowali się bezpłatnie przewieść zapasy i w tym celu starzec był w Reikavik, aby gubernatorowi o tem oznajmić.

Ósma godzina wybiła i zebrani powstali żegnając proboszcza; — każdy zatulił się w podwójny kożuch i twarz gęstą zasłoną sukna przykrywał, w której tylko dwa znajdowały się otwory, tak małe, aby można przez nie drogę rozpoznać. Mróz był nadzwyczaj silny i dlatego goście wychodzili szybko i pojedynczo, gdyż nieco przydłuższe otworzenie drzwi, groziło zamrożeniem wszystkiego w mieszkaniu.

W pięć miesięcy później, Islandya przybrała weselszą postać: doliny pomiędzy skałami, wąwozy i wybrzeża pokryły się zielonymi mchami i lichą trawą; — na polach uprawnych rozesłał się kobierzec nikłego owsa i jęczmienia, a karłowate brzozy i wierzby pyszniły się drobniuchnym liściem: na łąkach rozwinęło się mnóstwo północnych kwiatów. Wiosna lato i jesień trwają tu zaledwie półczwarta miesiąca, a więc rolnikom spieszy się niezmiernie, bo w tak krótkim czasie muszą zboża wyrosnąć, okwitnąć, i wydać nasiona. — Biedna kraina!

W tej porze roku słońce przez kilka dni nie zachodzi wcale, przybladła tarcza jego lekko przechodzi ponad zachodnim krańcem widnokręgu i znowu wybija się w górę. Zato w święta Bożego Narodzenia nie widać przez kilka dni zupełnie lubego słońca i tylko lekkie światło na wschodzie daje znać, że się ku horyzontowi zbliżyło.

W wigilią św. Jana, mieszkańcy Grunony, w świątecznym stroju, zgromadzili się przed kościołem. Po odprawieniu nabożeństwa, proboszcz zaślubił Stenona z Regnildą. Ojciec wprawdzie nie wrócił, ani najmniejszej o nim nie miano wiadomości; lecz młody rybak wybierał się właśnie w podróż, na odszukanie ojca, i nie chciał opuścić rodzinnej wyspy, nie zaślubiwszy Regnildy. Rozporządził on swem mieniem na przypadek śmierci, chcąc zabezpieczyć przyszłość biednej sieroty.

Na trawniku przed kościołem zastawiono dla zgromadzonych skromny posiłek, po którym, przy odgłosie islandzkiej muzyki, rozpoczęły się tańce narodowe. Wszyscy weselili się, młoda tylko para była smutną i inaczej być nie mogło, gdyż nazajutrz o świcie Steno miał opuścić Islandyę... może na zawsze.

Zaledwie flegmatyczni Islandczykowie rozruszali się nieco, gdy nagle od brzegu rozległ się krzyk przeraźliwy: »Gry z niedźwiedziami!« Natychmiast muzyka ucichła, tancerki poukrywały się do chat, a mieszkańcy w mgnieniu oka uzbroili się w strzelby, topory i dzidy, ażeby stoczyć śmiertelną walkę z straszliwym wrogiem, i wszyscy pospieszyli ku brzegowi.

Prawie co lato napływają od północnego bieguna niezmierne kry i ogromne góry lodowe, na których znajdują się częstokroć wygłodniałe niedźwiedzie białe. Jeżeli prąd morski, albo wiatr zapędzi je do brzegu, naówczas ludność narażoną jest na największe niebezpieczeństwo, gdyż bardzo trudno obronić się tym rozżartym i silnym bestyom, i wielkie wydarzają się nieszczęścia. Nic więc dziwnego, że na wybrzeżu panowało niezmierne zamięszanie.

— Do czego te krzyki, — zawołał Horso, — przypatrzcie się dobrze, kry

płyną, ale na nich niema ani jednego niedźwiedzia.

— Widać, że wasz wzrok słabieje na starość — rzekł jeden z młodych rybaków. Spojrzyjcie na tę płaską, niebieskawą krę, toż się na niej wyraźnie coś porusza.

— Prawda — odpowiedział Horso, — ale przysięgam wam, że to nie jest niedźwiedź.

— To jest namiot! letni namiot grenlandzki — zawołał Stenon — doskonale rozróżnić można drągi, na których jest rozpięty.

— Tam jest człowiek! — zawołał wzruszonym głosem Horso — czy nie widzicie, jak wyciąga ręce wzywając ratunku, spieszmy mu na pomoc!

Natychmiast cała ludność rzuciła się do łodzi, ale zanim zdołali odbić od brzegu, już kra pędzona gwałtownością prądu, z taką siłą uderzyła o ląd, że człowiek, namiot i wszystkie rzeczy znajdujące się na niej wypadły na brzeg.

Upadek ogłuszył rozbitka. Mieszkańcy poskoczyli mu na ratunek. Stenon zdarł pierwszy kaptur ze skóry psa morskiego, zakrywający do połowy oblicze, a ujrzawszy rysy obcego, wydał okrzyk przeraźliwy i porwał go w swoje objęcia.

Byłto Gundebrand, jego ojciec.

Starzec był w najwyższym stopniu znużony i przeziębnięty. Zaniesiono go do domu proboszcza, gdzie posiliwszy się nieco gorącym rosołem, zapadł w tak głęboki sen, że nie obudził się aż nazajutrz przed południem.

(Dokończenie nastąpi.)

* Objaśnienia rycin. *

Mikołaj Kopernik, astronom urodzony r. 1473 a zmarły 1543, jest chlubą narodu polskiego. Nic też dziwnego, że najsławniejszy malarz polski, Jan Matejko, wymalował bardzo piękny obraz przedstawiający Kopernika jak w pogodną noc na wieży obserwuje niebo. W dzisiejszym numerze »Światła« (str. 628) podajemy podobiznę tegoż obrazu. Oryginał zdobi główną ścianę sali nowego kolegium w Krakowie.

* ROZMAITOŚCI. *

* **Banialuka.** Wyrażenie przysłowiowe w języku polskim »pleść banialuki« czyli brednie i niedorzeczności, pochodzi od głośnego, napisanego wierszem przez Hieromina Morsztyna, a wydanego r. 1650 w Krakowie romansu: »Historya ucieszna o zacnej królewnie Banialuce ze wschodniej krainy,« który wyszedł pod ogólnym tytułem książki tegoż autora: »Antypasty małżeńskie, trzema uciesznemi historyami, jako wdzięcznego smaku cukrem prawdziwej a szczerej miłości małżeńskiej zaprawione.« Treść książki stanowią dziwne przygody pokutującej w tajemniczym zamku królewny Banialuki i zakochanego w niej myśliwego królewiczą. Autor naśladuje wyrazami głosy dzikich zwierząt wśród puszczy, n. p. żubra i tura za jedno i to samo zwierzę. Pisarze doby Stanisława Augusta szydząc z utworu Morsztyna, przyczynili się do utrwalenia przysłowia o Banialuce. Zabłocki żartuje z morału wziętego z Banialuki. Węgierski w »Organach« pisze o niej: »Historya ta pozbawiona sensu, ledwie już podsędków jest zabawą.« Krasicki w listach wyraża się:

> »Jużci czasem i w kącie pociecha się zdarza,
> Lepsza od Banialuki i od kalendarza.«

Nazwę Banialuka, nosi jedno z główniejszych miast Bośnji, niegdyś stolica baszy bośniackiego.

* **Bajońskie sumy.** Na oznaczenie rzeczy niemożliwej do odzyskania, pieniędzy lub sukcesyi bez nadziei wypłaty, ustalił się w języku polskim za Księstwa Warszawskiego wyraz sumy bajońskie. Nazwa ta i jej znaczenie powstało tym sposobem: W dniu 10 Maja r. 1808 została w Bajonnie zawartą ugoda pomiędzy rządem Napoleona I i komisarzami Księstwa Warszawskiego: Stan. Potockim, Działyńskim i Bielińskim, mocą której Napoleon dla zasilenia wyczerpanego na ogromne koszta wojenne skarbu Księstwa, ofiarował mu, z mających się odebrać należności i długów, sumę 47 milionów franków, za którą Księstwo War. obowiązało się w ciągu lat trzech od dnia 7. Stycznia 1808 wypłacić mu 20 milionów franków z 5. procentem. Na tej wspaniałomyślności Napoleona skarb Księstwa stracił, nie zyskał. Bo 20 milionów fr. musiał mu wypłacić gotowizną, a 47. przyznanych mu przez konwencyę bajońską nie podobna było od dłużników wyegzekwować. W r. zaś 1815 kongres Wiedeński sumy te przyznał rządowi pruskiemu.

* **Poszukiwanie rud żelaznych na Kaukazie.** Szybki rozwój przemysłu metalurgicznego w Rosyi południowej i obawy wyczerpania w niedalekiej przyszłości z łoży tamtejszych rud żelaznych, dały impuls do poszukiwania rud żelaznych na Kaukazie. W ogóle można powiedzieć, iż Kaukaz znajduje się w przededniu rozwoju przemysłu górniczego i podobno jedno z towarzystw zagranicznych prowadzi prace przygotowawcze, w celu podniesienia samodzielnego przemysłu żelaznego na Kaukazie.

* **Jak długo zwierzęta mogą być bez jedzenia?** Bez jedzenia koń może żyć 25 dni, jeśli ma poddostatkiem wody do picia, będzie żył dni 17 tylko, jeśli nie będzie miał czem zaspokoić równocześnie i pragnienia, paść musi jednak po dniach 5, jeśli mu damy pożywienie bez możności ugaszenia pragnienia. Kot skazany na post przymusowy, żyje dni 20, pies zaś pijąc, dopiero pc dniach 39 kończy żywot śmiercią głodową, bez wody zdycha po upływie 20 dni. Królik opiera się śmierci przez dni 14, gołąb przez dni 10, a wróbel przez 2 dni tylko. Człowiek w zwykłych warunkach może zachować post absolutny nie dłużej jak trzy tygodnie. »Uzdolnieni« głodomorzy, w rodzaju Merlatti lub Tannera, wytrzymują z łatwością półtora miesiąca bez strawy i napojów. Ropuchy są najwytrwalsze, gdyż żyć mogą dwa do trzech lat bez pożywienia i wody.

FRASZKI.

* **W przepełnionym wagonie.** W przepełnionym wagonie tramwajowym, Kartaczowski, znany »nieukontentowany«, zmuszony stać i jedną ręką trzymać kilka pakunków, a drugą trzymać się rzemienia u powały, mówi głośno:

— Jest to podłość ze strony magnatów tramwajowych, tak postępować i w taki sposób obchodzić się z publicznością. Powinnoby nastąpić ogólne powstanie...

— Tak — woła jeden z siedzących ze śmiechem — ażebyś ty mógł usiąść. O! nie ma głupich...

* **Na wsi.** — Ja wielmożnego pana co powiem: pszenica to dziś jest żaden interes, żyto tak jakby nie interes a jęczmień bardzo mały interes, ale ja mogę być kupiec na siano.

— Na cóż ci siano, Icku?

— Potrzebne: ja miszlę założyć niedługo wielgi skład herbate!

* **Tępy uczeń.** Nauczyciel: Co wiesz o gęsi?
Uczeń: Gęś jest ptakiem.
— Do czego jest przydatna?
— Do zabicia.
— Do czego więcej?
— Do jedzenia.
— Do czego więcej?
— Nie wiem.
— Co otrzymuje się z gęsi, gdy się ją skubie?
— Nie wiem.
— Co u siebie w domu macie w łóżkach?
— Pluskwy.

* **Dumny ptak.** — Mówiłeś pan, że ten kanarek bardzo ładnie śpiewa, a on nie śpiewa wcale.

— To jest bardzo dumny ptak. On wie, że acani za niego dotąd nie zapłaciła i powiada, że śpiewać darmo, boli gardło.



Pierwszy kupiec: Nasz handel jest tak wielki, że musieliśmy osobną szklarnią założyć dla fabrykacyi kałamarzy do atramentu, który w biurach spotrzebujemy.

Drugi kupiec: To nic, ale myśmy musieli zadzierżawić kilka mil kwadratowych piasku na pustyni Saharze, abyśmy mieli dosyć piasku do posypowania listów, które wysyłamy.

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa »Katolika« w Bytomiu G.-Ś. — Redaktor odp.: **Adam Napieralski** w Bytomiu.

ŚWIATŁO

Pismo z obrazkami dla katolickich rodzin polskich.

Rok XI. Bytom G.-Ś., 7-go Października 1897. Nr. 40.

„ŚWIATŁO“ wychodzi dwa razy na miesiąc w Czwartek. — Przedpłata kwartalna wynosi z przesyłką pocztową 85 centów. — Pojedyńczy zeszyt kosztuje 15 centów. — Główny skład na Galicyą i Bukowinę znajduje się w księgarni panów Kubaczki i Langa w Białej (Galicya). — OGŁOSZENIA przyjmują się za opłatą 10 cent. od 3-łamowego wiersza drobnym drukiem.

Dobre wychowanie córek naszych

jest rzeczą nadzwyczajnej wagi dla przyszłości narodu polskiego. Odnośnie do ważności tej sprawy, za mało się o niej w gazetach pisze i za mało mówi. Dla tego też w bardzo szerokich kołach, mianowicie średniego i ludowego stanu, wychowanie córek o wiele mniej staranne bywa, aniżeli wychowanie synów. Mamy tu na myśli wychowanie pod względem praktycznym i obywatelskim, nie zaś pod względem religijnym i moralnym, które w regule w rodzinach naszych jest dobre.

U innych narodów oddawna już zwrócono na to baczną uwagę. Naród niemiecki posiada liczne szkoły, przeznaczone na dokończenie czyli uzupełnienie wychowania dziewcząt. Łatwo mu było te zakłady wychowawcze posiąść, bo rząd był mu na pomocy. Gdy dawniej tyle szkół jeszcze nie było, albo i dzisiaj, gdzie do szkoły daleko, radzą sobie rodzice niemieccy w ten sposób, że oddają córki do znajomych rodzin w większem mieście na rok lub dłużej, aby tam douczyły się tego, czego im dom dać nie zdołał. W takich rodzinach bywa nieraz po kilka lub kilkanaście dziewcząt.

U Czechów, gdzie poświęcenie dla sprawy ogólnej tak jest wielkie, powstały czeskie zakłady wychowawcze dla dziewcząt kosztem społeczeństwa czeskiego, pierwotnie zupełnie bez pomocy rządu. Są one liczne a jak wpływają na swoje wychowanki, najlepiej świadczy poczucie obywatelskie i uznana gospodarność i doskonałość kobiet czeskich w sprawach domowych.

W naszem polskiem społeczeństwie nie brakło rodziców, którzy widząc niedostatki w wychowaniu domowem swych córek, wysyłali je także do zakładów uzupełniających lub do rodzin zaufania godnych na naukę. Ponieważ jednak polskich zakładów nie było, dostawały się dziewczęta polskie do niemieckich szkół lub rodzin i jakkolwiek pod praktycznym względem niejednego się nauczyły, co do ukształcenia ducha i serca stawały się najczęściej podobne kwiatom, przesadzonym na obcy grunt, na którym nie mogą się tak rozwinąć i ukształcić, jak na gruncie rodzinnym. Każdy to z nas zrozumie i zbyteczną jest rzeczą dalej się nad tem rozwodzić.

Aby dotkliwemu brakowi szkoły podobnej zaradzić, powstał przed trzema laty w Śremie, w prowincyi Poznańskiej, zakład wychowawczy gospodarstwa kobiecego i pracy domowej, założony i po dziś kierowany przez panią F. Szczerbińską.

Jakkolwiek gazety polskie dość często już o zakładzie się rozpisywały, zajęcie się społeczeństwa naszego tą jedyną w swoim rodzaju szkołą jest niewielkie; ztąd też napływ uczennic nie tak liczny, aby szkoła się opłacała.

Jakżeby inaczej było u Czechów! Tam niezawodnie 3 lub 4 powiaty nasłały by tyle wychowanek do szkoły, iżby miejsca w niej zabrakło. U nas cała prowincya Poznańska, całe Prusy Zachodnie i Wschodnie, cały Ślązk wreszcie nie są w stanie dostarczyć dostatecznej liczby uczennic.

Czyż u nas nie ma potrzeby takiej szkoły? Większa z pewnością, niż u innych narodów! Tylko u nas jeszcze za mało takich rodziców, którzy są przekonani, że dobre wychowanie córek lepszem jest wianem, niż talary posagowe.

Piszący te słowa, doznawszy sam na swoich najbliższych, jak zbawiennym jest wpływ zakładu Śremskiego, odzywa się z zachętą do rodziców katolickich i polskich, aby nie żałowali pieniędzy na uzupełnienie wychowania swoich córek w tym zakładzie.

Przedewszystkiem odzywam się do rodzin mieszczańskich, kupieckich, prze-

mysłowych, rzemieślniczych i do posiedzicieli czyli gospodarzy wiejskich. Dla nich to w pierwszym rzędzie przeznaczony jest zakład Śremski. Nie ma on bowiem na celu kształcić dziewczęta na służące, lecz na samodzielne gospodynie i obywatelki. Cały program zakładu i cały duch jego zastósowany jest do tego a przełożona czuwa skrupulatnie nad tem, ażeby wychowanki uczyły się szanować swój stan i czuć się w nim szczęśliwe.

Kurs w zakładzie Śremskim trwa jeden rok, może jednak być dłuższym, skoro zachodzi potrzeba lub gdy rodzice sobie tego życzą. Nauka praktyczna obejmuje: Kucharstwo, pranie i prasowanie bielizny białej i kolorowej, wełnianych i jedwabnych materyi, koronek, haftów, firanek, składanie, maglowanie i cerowanie bielizny, sprzątanie pokoi, nakrywanie do stołu, szycie ręką i maszyną, krój sukien i bielizny, haft i robótki, chodzenie koło krów, świń, drobiu, ogrodnictwo (cieplarnia, inspekta, warzywnictwo i kwiaty).

Dział teoretyczny obejmuje: Naukę katechizmu, pisanie listów i wypracowań na temat zajęć gospodarskich, rachunki gospodarcze, buchhalterya.

Płaca roczna wynosi 360 marek albo 500 marek. Różnica w cenie zależy od tego, czy wychowanka na pierwszym, czy na drugim stole jada. Niektórym niepodobają się te dwa stoły, lecz bez racyi. Uczennice mając się gruntownie zapoznać z kucharstwem, muszą także przyprawiać potrawy wykwintniejsze. Ponieważ w Śremie nie ma zbytu dla obiadów z braku stósownych stołowników, przeto wszystko musi być zjedzone w zakładzie. Z koniecznej potrzeby przeto urządzono dwa stoły, aby z jednej strony uczennice jak najlepiej z kucharstwem zapoznać, z drugiej zaś strony, aby zapobiedz przyzwyczajeniu się wychowanek do potraw, których zazwyczaj w domu nie miały i nie będą miały.

Zakład Śremski nie mając subwencyi, musi utrzymywać się o własnych siłach. Ponieważ płaca roczna jest niższa, aniżeli w podobnych zakładach obcych, przeto potrzeba znacznego zastępu uczennic, aby się koszta pokryły.

Niech społeczeństwo polskie nie pozwoli upaść jedynej a tak pożytecznej szkole dla wychowania dziewcząt polskich, bo kto wie, czyby się potem znalazła osoba z taką umiejętnością i poświęceniem sprawę tę traktująca, jak p. Szczérbińska. Gdyby wszystkie dziewczęta polskie, zwiedzające zakłady niemieckie, oddane zostały do Śremu, liczba ich na utrzymanie zakładu byłaby z pewnością dostateczna. Zachęcam rodziców polskich i polecam szkołę Śremską jak najgoręcej. Nikt nie będzie żałował, kto tam dziecko swoje odda, bo odda je w dobre ręce i zapewni mu majątek na całe życie, jakiego pieniądze zastąpić nie mogą.

Adres przełożonej zakładu: F. Szczerbińska w Śremie (Schrimm). Na żądanie przesyła zakład dokładne objaśnienia i bliższe warunki darmo i franko. Zakład przyjmuje uczennice każdego czasu.

Mężny chłopiec.

Było to na początku zeszłego stulecia, w wioseczce leżącej w okolicach Vitry we Francyi. Otóż w tej wioseczce żył pewien wieśniak, którego najstarsze dziecię, syn, nie miało więcej nad lat dwanaście, a wyglądało na ośm. Dziecię to nazywało się Jakób Ferronier.

Na wsiach samo nazwisko wilk, jest dla dzieci a nawet i dla starszych nie koniecznie przyjemnem, a często strasznem. Kiedy śnieg pokryje ziemię, spotkanie wilka może obudzić trwogę, bo to zgłodniałe zwierzę bez wahania rzuca się na człowieka.

Otóż Jakób, który nienawidził tych drapieżnych zwierząt i który obdarzony prawdziwie dzielnem sercem, radby je wszystkie wytępić, zapytał jednego dnia swojego ojca, jaki jest najlepszy sposób zabijania wilków?

— Ponieważ — dodał — jeżeli kiedy spotkam którego, muszę go zamordować.

Ojciec, biorąc to zapytanie za prostą ciekawość albo próżność dziecięcą, odpowiedział w sposób żartobliwy:

— Najprostszy sposób zabicia wilka jest taki: tylko uważaj dobrze Jakóbie. Skoro wilk z rozdziawioną paszczą rzuci się na ciebie, wpakuj mu rękę w gardło i to tak głęboko, żebyś dosięgnął aż do ogona, uchwyć mocno za ogon, pociągnij jeszcze mocniej, a wtedy przewrócisz wilka na lewą stronę jak pończochę, ot i cała robota.

— To wcale nieźle — mówiło dziecię, biorąc tę rzecz naprawdę — tylko moja ręka nie dosyć długa, abym dosięgnął przez gardło aż do ogona.

— W takim razie — dodał ojciec — ja myślę, że wpakowawszy mu ściśnioną pięść w gardło, zdołasz go zadusić.

— Dziękuję ojcu — odpowiedziało dziecię i poszło zamyślone w swój kąt, kiedy tymczasem ojciec, śmiejąc się, wrócił do swego zajęcia.

W tym właśnie roku 1709, zima była nadzwyczaj ostra; śnieg na stopę grubości pokrywał pola; mróz dochodził do niepamiętnej siły; to też wilki, nie mając żadnego pożywienia na polach, wpadały wśród białego dnia do wsi i nawet wdzierały się pomiędzy folwarczne zabudowania.

Jednego ranka, rodzice Jakóba wyszedłszy z domu, zostawili go na straży przy maleńkiej siostrzyczce spoczywającej w kolebce.

Po chwili drzwi otwierają się nagle i wilk młody jeszcze, ale głodny, zwietrzywszy, jak to powiadają, świeże mięso, wpada do izby i maszeruje prosto ku uśpionej dziewczynce.

Ale pan wilk nie wiedział zapewne, że mały Jakób wcale nie robił sobie żartów z nauki danej przez ojca i że nie raz dobrze się nad nią zastanawiał.

Bez namysłu więc Jakób rzuca się na napastnika; ten z najeżoną sierścią i rozdziawioną paszczą obraca się przeciw dzielnemu malcowi, który zacisnąwszy pięść, zatapia ją w gardle zwierzęcia.

Wilk szamocze się, ale Jakób drugą ręką objąwszy go mocno za szyję, z większą jeszcze siłą zagłębia pięść w gardło, przypiera go do kąta ściany i tak przypartego trzyma, dopóki zaduszone zwierzę nie runęło na ziemię.

Wzruszenie i wysilenie wyczerpały energię małego zwycięzcy, który też padł zemdlony obok zwyciężonego.

Niezadługo powrócili rodzice. Bogu tylko wiadomo, ile doznali trwogi, jak się zdziwili, widząc wilka i Kubusia leżących obok siebie.

Skoro Jakób odzyskał przytomność, pierwszymi wyrazami, jakie wymówił były:

— I cóż, przecież wilk nie zjadł mojej siostrzyczki, nieprawdaż?

DŻUMA.

Lekarze rosyjscy wojskowi szczególniej w dawnych czasach odznaczali się znakomitemi zdolnościami. Na granicy Azyi i Europy, gdzieś koło Orenburga stał kwaterą pułk strzelców, a w tamtej okolicy panowała właśnie i cholera i dżuma.

Pan pułkownik, jak zwykle na kolacyę pozwolił sobie za wiele i w nocy dostał straszliwych boleści. Zawezwany lekarz pułkowy rozpoznał cholerę, przepisał odpowiednie lekarstwa, między innemi nacieranie ciała szczotkami, co szczególniej pilnie polecił uskutecznić żołnierzom.

Na drugi dzień rano przychodzi lekarz powtórnie i zastaje pułkownika zczerniałego kompletnie ledwo dającego znaki życia. Co prędzej kazał go więc wynieść jako chorego na dżumę i jako konającego już dla ułatwienia sprawy na polu pochować.

Wierny Wasyl, drugi sługa pana pułkownika, przed pochowaniem postanowił go jeszcze wymyć i ubrać należnie razem z wszystkimi odznakami.

Ale o dziwo, ledwo dotknął ciała wodą zimną, pan pułkownik począł sapać a czarna farba schodzić z ciała. Przywołano szybko lekarza, aby oglądnął tę osobliwość, i dopiero przy badaniu okazało się, że pan pułkownik opium, które miał używać co godzina po kilka kropli, palnął sobie na raz, ztąd to rano ledwie dychał, a posługacz, któremu polecono w nocy nacieranie ciała, w braku innych szczotek, użył zwykłej od szwarcu i przez to biedne pułkowniczysko tak zczerniał.

Odtąd pułkownik, dowiedziawszy się o tem, przestał używać lekarstw, a lekarzom nie dowierzał nigdy, jeźli się zaś zdarzyło, że zasłabł, a żona przyzwała lekarza, to z przekąsem pytał:

— A co? może dżuma?

Praktyczne rady.

— Jak trzymać głowę w czasie snu. Dawniejsi lekarze byli zdania, że w czasie snu należy głowę umieścić wyżej niż resztę ciała, — nowsi uwzględniając obieg krwi, który przy poziomem położeniu całego ciała ludzkiego wraz z głową odbywać się może, doradzają, by nie pościelać zbyt wysoko pod głowę, — zwłaszcza w czasie chorób gorączkowych. Obecnie czytamy w jednem z pism lekarskich, że Dr. Hilty w St. Gallen w Szwajcaryi zrobił odkrycie, które następnie doświadczeniami stwierdził, iż najkorzystniejsze dla organizmu położenie głowy w czasie snu jest to, gdy głowa znajduje się niżej niż całe ciało. Na sobie samym stwierdził on, że po nocy przespanej z głową w położeniu niższem niż ciało, budził się wcześniej, a po przebudzeniu czuł się daleko rzeźwiejszym i zdolniejszym do pracy, nigdy też nie doznawał bólu głowy. Zaleca przeto niższe położenie głowy w czasie snu, zwłaszcza jako środek na bezsenność i cierpienie głowy.

— Posadzki znamienite albo bruk. Na tysiąc cegieł mocno wypalonych bierze się 800 kilo smoły z węgli kamiennych i gotuje razem, aby cegła przesiąkła smołą. Szpary pomiędzy cegłami zalewa się tą samą smołą i posypuje piaskiem lub trocinami. To tańsze i trwalsze

aniżeli asfaltowa posadzka. Izby fabryczne (a nawet mieszkalne), sienie, podwórza można w ten sposób wykładać.

Rozmaitości.

* **Balon parą pędzony.** Nowy balon z motorem zbudowali dwaj Francuzi, Tatin i Richet.

Aparat waży 33 kg. wliczając w to zapas wody i 600 gramów węgla, a przy ostatnim próbnym locie przeleciał przeszło 1400 m. z szybkością 18 metr. na sekundę, więc prawie tak szybko jak pociąg pospieszny.

Balon Tatina i Richeta składa się z bardzo lekkich z cieńkiego drzewa ram, obciągniętych jedwabiem: do tych ram przymocowane są dwa silne skrzydła, każde o powierzchni 12 metrów kwadratowych.

Skrzydła te przymocowane są do ram stalowym drutem. Prócz tego ma balon ogon, przytwierdzony podobnie jak skrzydła. Mały motor parowy obraca dwie śruby, z których jedna jest u góry ram, a druga u dołu.

Aby przyrząd miał z początku lotu dostateczną szybkość, postępują wynalazcy jak następuje:

Zbudowali oni równię pochyłą, na 75 metrów długą, na 10 metrów wysoką. Na tej równi pochyłej znajdują się szyny. Otóż po szynach spuszczają Tatin i Richet wóz, do którego przywiązany jest ich balon. Gdy wóz dobiega końca równi pochyłej, odcinanym jest aparat, który wskutek spadu otrzymuje potrzebną początkowo szybkość.

Najważniejszem przy puszczaniu tego balonu jest, aby wzlatując w powietrze miał kierunek ściśle poziomy, a to z tego powodu, że aparat, posiadając wielką powierzchnię, skłonnym jest do przewrócenia się przy najmniejszem uchyleniu.

Z powodu tej wielkiej powierzchni możliwem jest na razie puszczanie balonu tylko wtedy, gdy nie ma wiatru. Najważniejszem zadaniem dla wynalazców jest urządzić balon, tak, aby nie tracił równowagi

* **Znaczenie imion.** Z greckiego pochodzą imiona: Dorota (dar Boży), Eleonora i Laura (miłosierna), Helena (błyszcząca), Katarzyna (cnotliwa), Melania (ciemna) i t. d., z łacińskiego: Benedykta i Beata (błogosławiona), Dezydera (pożądana), Augusta (wzniosła), Klara (czysta), Klementyna (łagodna), Konstancya (wytrwała), Emilia (grzeczna), Franciszka (wolna), Leonia (odważna), Łucya (oświecona), Małgorzata (perła), Natalia (ochocza), Paulina (zadowolona), Rozalia (różana), Sabina (porwana), Urszula (niedźwiedzia), Felicya (szczęsna) i t. d., z języków wschodnich: Anna (miła), Halina (wzniosła), Elżbieta (błogosławiona), Gabryela (boska), Joanna (dziecko Boże), Marta (smutna), Marya (cierpka), Rebeka (opasła), Sara (panująca), Estera (błyszcząca), Zuzanna (czysta), Sydonia (rybaczka), Albertyna (sławna), Berta (świecąca), Brygida (błyszcząca), Emma (domowa), Jadwiga (wojownicza), Matylda (bohaterska) i t. d.

* **Jenerał Podbielski**, teraźniejszy naczelnik poczty niemieckiej, ma być nie tylko dobrym kupcem, ale także rzutkim rolnikiem; w dobrach swoich założył wielką mleczarnię, która ma zaopatrywać Berlin w świeże mleko; w lecie wysyłać będzie mleczarnia ta mleko mrożone; ażeby zwalczyć import jaj galicyjskich i owocu włoskiego, tyrolskiego i amerykańskiego do Niemiec — stara się jenerał P. w dobrach swoich i okolicy o podniesienie chowu drobiu i sadownictwa.

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu G.-Ś.